Czwarta część cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS

WIRUS JUDASZA

Rok 1293

Głęboka noc
Sumatra, Azja Południowo-Wschodnia

Krzyki zaczynały powoli cichnąć.

W spowitym nocą porcie płonęło dwanaście ognisk.

– *Il dio, li perdona*… – szepnął stojący u boku Marca ojciec, ale on wiedział, że Bóg nigdy nie wybaczy im tego grzechu.

Przy dwóch wyciągniętych na plażę długich łodziach wiosłowych stała garstka ludzi – jedyni świadkowie płonących na wodach laguny stosów pogrzebowych. Kiedy wzeszedł księżyc, podpalono dwanaście potężnych drewnianych galer wraz z członkami załóg na pokładzie – martwymi i chorymi, którzy jeszcze żyli. Maszty statków oskarżycielsko wyciągały się ku niebu niczym płonące palce. Płatki popiołu spadały na plażę i świadków. W powietrzu rozchodził się smród palonych ludzkich ciał.

– Dwanaście statków… – wymamrotał stryj Masseo, ściskając w dłoni srebrny krucyfiks. – Tyle samo co apostołów naszego Pana…

Wrzaski trawionych ogniem ludzi w końcu ucichły. Do piaszczystego brzegu docierały już tylko trzaski i ciche buzowanie płomieni. Marco najchętniej odwróciłby się od morza, ale patrzył dalej. Inni klęczeli na piachu, plecami do wody, z twarzami bladymi jak zwietrzała kość.

Wszyscy byli nadzy. Każdy dokładnie obejrzał ciało sąsiada, szu-

kając na nim znaków. Nawet stojąca za parawanem z płótna żaglowego księżniczka miała na sobie jedynie wysadzany klejnotami diadem. Ponieważ ogień oświetlał ją od tyłu, przez materiał widać było jej zgrabną sylwetkę. Nazywała się Kokejin – Błękitna Księżniczka – i miała siedemnaście lat, czyli tyle samo co Marco, kiedy wyruszył z Wenecji. Polowie mieli zadanie bezpiecznie dostarczyć ją do narzeczonego – władcy Persji, wnuka brata chana Kubilaja.

Ale to było w innym życiu.

Czyżby minęły dopiero cztery miesiące od chwili, gdy pod pachami i w pachwinach pierwszego członka załogi pojawiły się obrzęki świadczące o chorobie? Zaraza zaczęła rozprzestrzeniać się jak ogień i błyskawicznie zamieniła sprawnych marynarzy w pozbawione siły szkielety, zmuszając ich do lądowania na wyspie zamieszkanej przez kanibali i przedziwne bestie.

Nawet o tak późnej porze z ciemnej dżungli dochodził łoskot bębnów, tubylcy wiedzieli jednak, że nie powinni zbliżać się do obozu. Jedynym widocznym znakiem, że przybysze znajdują się na granicy obcego terenu, były zwisające z gałęzi czaszki o oczodołach poprzerastanych pnączami – ostrzegające przed wejściem głębiej w dżunglę.

Choroba utrzymywała dzikich na dystans.

Koniec z tym. Ogień pokonał mór, a przy życiu pozostała jedynie garstka szczęśliwców bez czerwonych obrzęków.

Siedem nocy temu zabrano ostatnich chorych na zakotwiczone z dala od brzegu statki i pozostawiono ich tam z jedzeniem i wodą. Zdrowi zostali na lądzie, wypatrując nowych oznak plagi. Ci, których wygnano na statki, nieustannie krzyczeli, płakali, modlili się lub przeklinali i złorzeczyli. Najgorszy był wybuchający od czasu do czasu przepełniony szaleństwem śmiech.

Znacznie lepsze byłoby poderżnięcie wszystkim zarażonym gardeł, ale ponieważ każdy bał się opryskania krwią chorych, zostali wysłani na statki i uwięzieni na nich razem ze zmarłymi.

Kiedy wieczorem słońce chyliło się ku zachodowi, woda wokół dwóch statków pojaśniała i po chwili dziwny blask zaczął rozpływać się po czarnej powierzchni jak mleko. Widzieli już ten blask w jeziorach i kanałach otaczających kamienne wieże przeklętego miasta, z którego uciekli.

Choroba próbowała wydostać się z drewnianego więzienia.

Nie pozostawiła im wyboru.

Wszystkie statki – z wyjątkiem jednej galery przeznaczonej do ucieczki – zostały podpalone.

Stryj Marca, Masseo, krążył wśród pozostałych przy życiu ludzi. Dał im znak, aby zakryli swoją nagość, ale płachty płótna i surowej wełny nie mogły ukryć ich straszliwego wstydu.

– Co myśmy uczynili… – jęknął Marco.

– Nie wolno nam o tym mówić – odparł ojciec i podał mu szatę. – Jeśli powiesz choć słowo o zarazie, cały kraj się od nas odwróci. Nie pozwolą nam zawinąć do żadnego portu. Wypaliliśmy chorobę ogniem, więc pozostaje nam już tylko powrócić do domu.

Kiedy Marco wkładał szatę przez głowę, ojciec zauważył rysunek, jaki syn naszkicował patykiem na piasku. Zacisnął wargi, starł go butem i wbił w syna błagalny wzrok.

– Nigdy, Marco… nigdy…

Ale wspomnień nie da się tak łatwo zetrzeć. Marco służył wielkiemu chanowi jako emisariusz i kartograf, nanosząc na mapy podbite przez niego królestwa.

– Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co odkryliśmy – dodał ojciec.

Marco bez słowa kiwnął głową. Wolał nie komentować tego, co narysował.

– *Città dei Morti* – szepnął.

Starszy mężczyzna jeszcze bardziej pobladł.

Marco wiedział, że ojciec boi się nie tylko zarazy.

– Przysięgnij mi, synu.

Marco popatrzył na jego pociętą zmarszczkami twarz. W ciągu ostatnich czterech miesięcy ojciec postarzał się znacznie bardziej niż przez siedemnaście lat pobytu u chana w Shangdu.

– Przysięgnij mi na błogosławionego ducha twojej matki, że nigdy nie powiesz ani słowa o tym, co odkryliśmy i co zrobiliśmy.

Kiedy Marco nic na to nie odpowiedział, ojciec złapał go za ramię i ścisnął mocno.

– Przysięgnij mi, synu. Dla własnego dobra.

Błaganie w jego oczach niemal parzyło. Marco nie mógł od-

mówić.

– Zachowam milczenie – obiecał w końcu. – Przysięgam, ojcze.

Podszedł do nich jego stryj.

– Nie powinniśmy byli tam wchodzić, Niccolò – powiedział, patrząc na brata, ale tak naprawdę te oskarżycielskie słowa były skierowane do Marca.

Zapadła cisza ciężka od tajemnic łączących trzech Wenecjan.

Marco wiedział, że stryj ma rację.

Przywołał w pamięci obraz delty rzeki, którą ujrzeli cztery miesiące temu: czarny, szeroko rozlany nurt, a po obu brzegach ciężkie liście i sploty pnączy. Zatrzymali się tam tylko po to, aby dokonać napraw dwóch statków i uzupełnić zapasy słodkiej wody. Nie powinni byli zapuszczać się dalej, ale Marco nie mógł zapomnieć zasłyszanej kiedyś historii o znajdującym się w pobliżu wspaniałym mieście. Ponieważ należało się spodziewać, że naprawy potrwają dziesięć dni, wyruszył z czterdziestoma ludźmi chana, aby sprawdzić, co jest za górami. Z grani dostrzegli ukrytą w głębi lasu kamienną wieżę, wznoszącą się wysoko w światło poranka. Marco zawsze był ciekaw nieznanych rzeczy, a ten obiekt przyciągał go szczególnie silnie.

Powinna go ostrzec cisza panująca w lesie, kiedy maszerowali w kierunku wieży. Nie było słychać bębnów. Nie śpiewały ptaki, nie wrzeszczały małpy. Miasto po prostu czekało.

Wkroczenie na jego teren było fatalną pomyłką.

Kosztowało ich to bardzo dużo.

Teraz patrzyli we trzech, jak ogień dopala galery do linii wodnej. Jeden z masztów przewrócił się niczym ścięte drzewo. Prawie dwadzieścia lat temu ojciec, syn i stryj opuścili włoską ziemię i jako wysłannicy papieża Grzegorza X udali się na Wschód, do mongolskiego kraju. Przebyli długą drogę, zanim dotarli do pałaców i ogrodów chana w Shangdu, w których utknęli na wiele lat. Zatrzymała ich gościnność chana, tak wielka, że nie mogli opuścić jego dworu, nie obrażając go. Jednak w końcu szczęście sobie o nich przypomniało, i mogli wyruszyć w podróż powrotną do Wenecji, zwolnieni ze służby u wielkiego Kubilaja i poproszeni o zawiezienie panny Kokejin do perskiego narzeczonego.

Gdyby ich flota nie wypłynęła z Shangdu…

– Wkrótce wzejdzie słońce – stwierdził ojciec. – Czas wracać do domu.

– Co powiemy Teobaldowi, kiedy dotrzemy do błogosławionych wybrzeży? – spytał Masseo, używając dawnego imienia mężczyzny, który był przyjacielem i patronem rodziny Polów przed wyborem na papieża i przybraniem imienia Grzegorza X.

– Nie wiemy, czy jeszcze żyje – odparł Niccolò. – Nie było nas tak długo…

– A jeśli żyje?

– Powiemy mu, czego się dowiedzieliśmy o Mongołach, o ich zwyczajach i sile. Wszystko, czego kazano nam się dowiedzieć. Ale o zarazie nie musimy mówić. Nie ma o czym, bo już jest po wszystkim.

Masseo westchnął. Jego gniewne spojrzenie jednoznacznie mówiło, co o tym myśli.

Zaraza prawdopodobnie oszczędziła niektórych z tych, którzy się zgubili.

– Już jest po wszystkim – powtórzył z naciskiem Niccolò, jakby słowa mogły sprawić, że to, o czym mówił, stanie się prawdą.

Marco popatrzył na obu starszych mężczyzn – ojca i stryja – których sylwetki, obramowane drobinami rozżarzonego popiołu i kłębami dymu, wyraźnie odcinały się od nocnego nieba. Dopóki którykolwiek z nich będzie pamiętał o tym, co się wydarzyło, nie będzie „po wszystkim".

Wbił wzrok w swoje stopy.

Choć rysunek został starty z piasku, nadal płonął w jego mózgu. Była to mapa narysowana krwią na odpowiednio spreparowanej korze.

W dżungli stały świątynie i strzeliste wieżyce.

Puste – jeśli nie liczyć ciał martwych ludzi.

Ziemia była zasłana truchłami ptaków, które pospadały na kamienne place, jakby zostały strącone podczas lotu. Wszędzie leżały trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Pola pokrywały ścierwa wołów i dzikich zwierząt. Z gałęzi drzew bezwładnie zwisały zielone żmije, których ciało gotowało się pod łuskami.

Jedynymi istotami, które przeżyły, były mrówki – najróżniej-

szych rozmiarów i wszelkich możliwych kolorów.

Sunęły falami przez kamienie i ciała, powoli pożerając trupy.

Ale nie tylko mrówki doczekały zachodu słońca.

Po odkryciu, co jego syn zabrał z jednej ze świątyń, Niccolò spalił mapę i rozsypał popiół nad morzem. Zrobił to, zanim na ich statku zachorował pierwszy członek załogi.

– Musimy o tym zapomnieć – powiedział wtedy. – To nie ma nic wspólnego z nami. Niech pochłonie to historia.

Marco zamierzał dotrzymać złożonej przysięgi. W zamyśleniu dotknął jednego ze znaków na piasku. Nigdy nikomu o tym nie opowie. Ale czy wolno było niszczyć tak ogromną wiedzę?

Gdyby istniał jakiś inny sposób jej zachowania…

– A gdyby to wszystko miało się odrodzić? – spytał Masseo, wyrażając na głos obawy, które przepełniały każdego z nich. – I dotarło do naszych wybrzeży?

– Będzie to oznaczało koniec panowania człowieka na ziemi – odparł gorzko Niccolò i dotknął krucyfiksu, wiszącego na nagiej piersi brata. – Ten dominikanin był z nas wszystkich najmądrzejszy. Jego poświęcenie…

Krzyż należał kiedyś do brata Agreera, siostrzeńca papieża Grzegorza X. Mnich oddał życie w przeklętym mieście, aby ich uratować. Zostawili go tam, porzucili – tak jak prosił.

– Czym Bóg doświadczy nas następnym razem? – szepnął Marco, kiedy ostatnie płomienie zgasły na ciemnej wodzie.

Ocean Indyjski
10°44’07.87” S|105°11’56.52” E
22 maja, godzina 18.32

– Kto jeszcze chce fostera?! – zawołał z dolnego pokładu Gregg Tunis.

Doktor Susan Tunis, która właśnie wchodziła drabinką do nurkowania na pokład rufowy, uśmiechnęła się na dźwięk głosu męża. Rozpięła kamizelkę wypornościową, zdjęła z siebie ciężki zestaw do nurkowania i zaniosła go do regału znajdującego się za sterówką. Gdy ustawiała swoją butlę obok innych, rozległ się metaliczny brzęk.

Uwolniona od ciężaru, chwyciła wiszący na ramieniu ręcznik i zaczęła wycierać blond włosy, niemal białe od słońca i soli. Kiedy skończyła, rozpięła suwak skafandra.

BUM-BABADUM… BABADUMMM… zadudniło ze stojącego za jej plecami leżaka.

– Profesorze Applegate, czy pan zawsze musi mnie podglądać, kiedy zdejmuję piankę?

Siwy geolog, na którego kolanach leżała książka o historii marynarki, poprawił okulary na nosie.

– Nie byłbym dżentelmenem, gdybym nie zauważył obecności pięknej młodej kobiety, uwalniającej się ze zbyt sztywnego stroju.

Susan ściągnęła skafander z ramion i zsunęła go do pasa. Pod spodem miała jednoczęściowy kostium. Wiedziała z doświadczenia, że góra od bikini ma zwyczaj zsuwać się razem ze skafandrem. Choć wcale jej nie przeszkadzało, że emerytowany profesor, starszy od niej o trzydzieści lat, pożera ją wzrokiem, nie zamierzała dawać mu darmowego pokazu.

Jej mąż Gregg wyszedł na pokład z trzema oszronionymi butelkami piwa, które trzymał między palcami prawej dłoni. Na widok żony uśmiechnął się szeroko.

– Zdawało mi się, że cię słyszę.

Miał na sobie białe płócienne spodnie i rozpiętą koszulę. Poznali się z Susan podczas naprawy któregoś ze statków uniwersyteckich w suchym doku, gdy pracował jako mechanik w Darwin Harbor. Przed ośmioma laty. Trzy dni temu świętowali na jachcie piątą rocznicę ślubu – sto mil morskich od atolu Kiritimati, lepiej znanym pod nazwą Wyspy Bożego Narodzenia.

Podał jej butelkę.

– Dopisało ci szczęście z nasłuchem?

Upiła łyk piwa, rozkoszując się chłodnym strumieniem płynu. Ssanie przez wiele godzin słonego ustnika wysuszyło jej usta.

– Jak na razie nie. W dalszym ciągu nie umiem określić powodu tych wypłynięć na brzeg.

Dziesięć dni wcześniej osiemdziesiąt delfinów z występującego jedynie na Oceanie Indyjskim gatunku *Tursiops aduncus* pozwoliło się wyrzucić falom na plażę u wybrzeży Jawy. Prowadzone przez Susan badania dotyczyły długoterminowego wpływu fal emitowanych przez sonary na walenie, co już wiele razy było przyczyną samobójczych wypłynięć na brzeg przedstawicieli różnych gatunków tych ssaków. Zazwyczaj miała do dyspozycji grupę asystentów, złożoną z absolwentów i studentów ostatniego roku, ale ta wyprawa miała być tylko urlopem spędzonym z mężem i dawnym nauczycielem. Jedynie zbieg okoliczności sprawił, że znaleźli się w okolicy tak licznego wypływania delfinów na brzeg – i tylko dlatego ich pobyt w tym miejscu się przedłużał.

– Czy przyczyną mogłoby być coś innego niż sonar? – spytał Applegate, w zamyśleniu kreśląc palcem kółka na zroszonym szkle butelki. – W tym regionie często dochodzi do mikrotrzęsień ziemi. Może tę samobójczą panikę delfinów wywołało trzęsienie spowodowane subdukcją pod dnem głębiny morskiej?

– Kilka miesięcy temu było tu całkiem niezłe trzęsienie – zauważył Gregg Tunis, który usiadł na leżaku obok profesora i poklepał następny leżak, zachęcając Susan, aby się przysiadła. – Może to wstrząsy wtórne?

Susan nie miała powodu spierać się z tą argumentacją. Liczne trzęsienia ziemi, które wystąpiły w tym regionie w ciągu minionych dwóch lat, poważnie naruszyły strukturę dna, ale Susan nie była do końca przekonana. Jej zdaniem działo się tu coś jeszcze. Rafa pod nimi była nienaturalnie pusta. Wszystkie zamieszkujące ją wcześniej istoty pouciekały do skalnych zagłębień, muszli i dziur w piachu.

Może fauna morska właśnie w ten sposób reaguje na mikrowstrząsy?

Zmarszczyła czoło i usiadła obok męża. Powinna połączyć się z Wyspą Bożego Narodzenia i dowiedzieć, czy ostatnio nie zanotowano jakiejś niezwykłej aktywności sejsmicznej, jednak postanowiła zrobić to później – najpierw chciała zachęcić Gregga do wejścia do wody.

– Znalazłam coś, co wygląda jak resztki starego wraku… – powiedziała.

Gregg się wyprostował. W Darwin Harbor oprowadzał nurków amatorów po wrakach zatopionych podczas drugiej wojny światowej okrętów wojennych, które leżały na dnie wokół północnych wybrzeży Australii, i wszystkie takie odkrycia bardzo go interesowały.

– Gdzie? – zapytał.

Susan wskazała palcem za siebie.

– Jakieś sto metrów od sterburty. Kilka czarnych belek, wystających z piasku. Prawdopodobnie odsłoniło je trzęsienie ziemi. Nie miałam czasu, aby się im dokładniej przyjrzeć. Uznałam, że zostawię to ekspertowi… – dodała i uszczypnęła Gregga w bok, po czym przytuliła się do niego.

Obserwowali, jak słońce powoli znika w wodzie. To był ich rytuał. Kiedy byli na morzu, zawsze oglądali razem zachód słońca – chyba że szalał sztorm.

Jacht kołysał się delikatnie. W oddali migotały światła tankowca, ale czuli się, jakby byli zupełnie sami.

Ostre szczeknięcie przestraszyło Susan. Nie sądziła, że jest aż tak spięta. Najwyraźniej udzieliło jej się dziwne zachowanie fauny pod nimi.

– Oscar! – zawołał profesor.

Dopiero teraz Susan zauważyła, że nie ma przy nich czwartego członka załogi. Pies ponownie zaszczekał. Należał do profesora, miał już sporo lat i dręczył go artretyzm, więc zazwyczaj najłatwiej było go znaleźć w plamach słońca na pokładzie.

– Zostawię was, turkaweczki, i zobaczę, o co mu chodzi – oznajmił Applegate. – Przyda mi się wycieczka na dziób, zrobię sobie miejsce na jeszcze jednego fostera przed snem.

Wstał z głośnym stęknięciem i ruszył ku dziobowi, zatrzymał się jednak w pół kroku i skierował wzrok ku wschodowi, gdzie niebo mocno pociemniało.

Oscar znowu szczeknął.

Tym razem Applegate go nie uciszył. Odwrócił się do Susan i Gregga.

– Powinniście to zobaczyć – powiedział.

Susan wstała, Gregg również. Dołączyli do profesora.

– Niech to cholera… – jęknął Gregg.

– Chyba już wiemy, co zmusiło delfiny do wyskoczenia na brzeg – stwierdził Applegate.

Szeroki pas wody jarzył się upiorną luminescencją, unoszącą się i opadającą w rytm ruchu fal. Srebrzysty połysk przetaczał się i wirował. Stary pies stał przy relingu i szczekał, a kiedy poświata jeszcze bardziej się zbliżyła, jego szczekanie zamieniło się w cichy warkot.

– Co to jest, do pioruna? – spytał Gregg.

Susan podeszła bliżej.

– Słyszałam o tym zjawisku. Nazywają to „mlecznym morzem". Na Oceanie Indyjskim statki natykają się na takie luminescencje od czasów Juliusza Verne'a. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku jeden z satelitów sfilmował to zjawisko… obejmowało setki mil kwadratowych. To tutaj nie jest duże.

– A co to właściwie jest? – dopytywał się Gregg. – Czerwony przypływ?

Susan pokręciła głową.

– Nie. Czerwone przypływy to zakwity alg, natomiast świecenie wody powodują bakterie bioluminescencyjne żywiące się algami lub czymś podobnym. Nie ma się czego bać, choć chciałabym…

Pod ich stopami rozległo się głośne stuknięcie – jakby coś uderzy-

ło w dno jachtu. Oscar znowu się rozszczekał, po czym zaczął biegać wzdłuż relingu, próbując wystawić łeb na zewnątrz.

Podeszli do psa i popatrzyli w dół.

Skraj mętnej wody uderzył o burtę jachtu i jednocześnie z głębin wypłynął potężny kształt – brzuchem do góry, ale ciągle jeszcze wijąc się i szczerząc wielkie zęby. Był to ogromny, ponadsześciometrowy żarłacz tygrysi. Świecąca woda kipiała wokół grubego cielska, bulgocząc głośno.

Ale to nie woda na ciele rekina bulgotała, lecz jego gotująca się skóra. Udręczone zwierzę znowu się zanurzyło, jednak wokół, jak okiem sięgnąć, z mlecznego płynu wypływały kolejne kształty, martwe lub wściekle trzepiące kończynami i ogonami: morświny, żółwie morskie i setki ryb.

Applegate cofnął się od relingu.

– Wygląda na to, że te bakterie znalazły sobie inne pożywienie niż algi…

Gregg odwrócił się do żony.

– Susan…

Nie mogła oderwać oczu od straszliwego widoku. Naukowa ciekawość zwyciężyła przerażenie.

– Susan…

Lekko zirytowana, spojrzała na męża.

– Nurkowałaś w tej wodzie przez cały dzień.

– No i co z tego? Wszyscy byliśmy przez jakiś czas w wodzie. Nawet Oscar.

Gregg popatrzył na przedramię Susan, na miejsce, które właśnie drapała. Niepokój w jego wzroku sprawił, że i ona spojrzała na swoją rękę. Skórę pokrywała gruboziarnista wysypka, którą drapanie coraz bardziej zaogniało.

Po chwili na przedramieniu Susan pojawiły się czerwone obrzęki.

– Susan…

– Boże drogi… to jest we mnie.

1

Czarna Madonna

Wenecja
1 lipca, godzina 10.34 czasu miejscowego

Ścigano go.

Stefano Gallo szedł szybkim krokiem przez otwarty plac. Poranne słońce już prażyło kamienne płyty, którymi wyłożona była *piazza*, i grupy turystów szukały cienistych miejsc, a kto mógł, pchał się do Bazyliki Świętego Marka. Jednak celem Stefana nie była ta najbardziej okazała budowla Wenecji, której bizantyjską fasadę, potężne konie nad wejściem i bulwiaste kopuły, znał cały świat.

Nawet błogosławione sanktuarium nie mogło mu dać ochrony.

Kiedy mijał bazylikę, przyspieszył kroku. Jego nierówny, nerwowy chód spłoszył gołębie, które rozprysnęły się na boki i zaczęły krążyć nad placem jak potężny wir. Ale Stefano Gallo nie próbował się ukrywać. Nie miałoby to sensu, bo został już odkryty. Kiedy doszedł do skraju placu, ujrzał młodego czarnookiego Egipcjanina o starannie przystrzyżonej brodzie. Ich spojrzenia się spotkały. Mężczyzna był teraz ubrany w ciemny garnitur, który spływał z jego szerokich ramion niczym gęsty olej. Gdy po raz pierwszy zjawił się u Stefana, twierdził, że studiuje archeologię w Budapeszcie, a przysłał go jego dobry znajomy – stary przyjaciel Stefana i kolega po fachu z Uniwersytetu Ateńskiego.

Przyszedł do Museo Archeologico w poszukiwaniu pewnego niezbyt cennego artefaktu – pochodzącego z jego kraju obelisku. Nieoficjalnie reprezentował rząd, który chciał, aby obelisk wrócił tam,

skąd go wywieziono. Pojawił się z dużą sumą pieniędzy – banknotami w plikach oklejonych oryginalnymi bankowymi banderolami. Stefano – jeden z kuratorów muzeum – nie miał siły oprzeć się łapówce, bo rachunki za leczenie żony groziły, że wkrótce będą musieli się wyprowadzić ze swojego niewielkiego mieszkania. Nie uważał przyjęcia tych pieniędzy za przestępstwo, ponieważ rząd Egiptu od dwudziestu lat skupował znajdujące się w prywatnych zbiorach skarby sztuki narodowej i naciskał na muzea na całym świecie, aby zwracały to, co do nich nie należało.

Tak więc zgodził się i obiecał dostarczyć artefakt. Czym był mały, nic nieznaczący kamienny obelisk? Z listu przewozowego wynikało, że od niemal stu lat nie wyjmowano go ze skrzyni, w której przyjechał. Łatwo było się domyślić dlaczego. Krótki opis mówił sam za siebie: „Nieokreślony marmurowy obelisk, wykopany w Tanis, datowany na późny okres dynastyczny (26. dynastia, 615. p.n.e.)". Trudno było dostrzec w tym obiekcie cokolwiek niezwykłego lub szczególnie intrygującego – zwłaszcza jeżeli nie przeczytało się zbyt dokładnie dołączonej do niego dokumentacji. Co z tego, że wcześniej znajdował się w zbiorach jednego z muzeów watykańskich – *Museo Gregoriano Egiziano*?

Nie wiadomo było, dlaczego trafił stamtąd do Wenecji.

Poprzedniego dnia rano kurier przyniósł list, w którym znajdował się wycinek z gazety. Koperta była zalakowana, a na pieczęci widniał znak:

$$\Sigma$$

Sigma.

Stefano nie rozumiał, co on oznacza, ale treść gazetowego wycinka była jasna. Artykuł opublikowano trzy dni temu i pisano w nim o znalezieniu na plaży nad Morzem Egejskim zwłok mężczyzny, wyrzuconych na brzeg podczas szczególnie gwałtownego sztormu. Choć ciało było rozdęte od przebywania przez dłuższy czas w wodzie i mocno nadjedzone przez węgorze, udało się ustalić, że mężczyźnie poderżnięto gardło. Analiza karty dentystycznej pozwoliła określić tożsamość ofiary.

Był to kolega Stefana Gallo z Uniwersytetu Ateńskiego, który

rzekomo przysłał do niego Egipcjanina.

Nie żył od wielu tygodni.

Wstrząs zmusił Stefana do natychmiastowego działania.

Przyciskał teraz do piersi ciężki artefakt, owinięty w workowe płótno, z którego wystawały kłujące źdźbła słomy użytej do pakowania.

Ukradł obelisk z muzealnego magazynu – w pełni świadom, że może to zagrozić jemu samemu, jego żonie i całej rodzinie.

Nie miał jednak wyboru. Poza artykułem w kopercie znajdowała się niepodpisana notatka, nakreślona pospiesznie kobiecą ręką. Było to ostrzeżenie, więc zrobił to, o co go poproszono.

Szedł przez plac, połykając łzy, a z jego gardła wyrywało się ciche łkanie.

Obelisk nie mógł wpaść w ręce Egipcjanina, ale Stefano nie zamierzał dłużej brać tego ciężaru na swoje barki. Żona i córka… wyobraził sobie wzdęte od wody zwłoki przyjaciela. Czy taki sam los czeka jego rodzinę?

Mario, cóż ja uczyniłem?

Tylko jedna osoba mogła zdjąć z niego ten ciężar. Ta, która przysłała list, ostrzeżenie zapieczętowane grecką literą. Na końcu notatki podano miejsce i godzinę.

Był już spóźniony.

Egipcjanin jakimś sposobem odkrył kradzież, musiał wyczuć, że ma zostać oszukany. Przyszedł po swoją własność o świcie i Stefano ledwie zdołał wymknąć się z gabinetu i uciec.

Nie był jednak wystarczająco szybki.

Spojrzał za siebie przez ramię.

Egipcjanin zniknął w tłumie turystów.

Stefano wszedł w cień najwyższej budowli miasta, dzwonnicy Campanile di San Marco. Kiedyś służyła jako wieża obserwacyjna, nadzorowano z niej okoliczne doki i obserwowano port, by chronić go przed wrogami – może tym razem ochroni także i jego.

Jego cel znajdował się po drugiej stronie niewielkiego placyku. Był nim *Palazzo Ducale*, czyli Pałac Dożów, tysiącletnia budowla, która do upadku Republiki Weneckiej w 1797 roku była siedzibą władców. Dwa poziomy gotyckich łuków obiecywały ratunek w cie-

niu istryjskiego kamienia i różowego werońskiego marmuru.

Stefano mocniej ścisnął cenny przedmiot i szedł dalej, nie zważając na wystające z bruku kamienie.

Czy ktoś czeka na niego i uwolni go od tego brzemienia?

Wszedł w cień, kryjąc się przed blaskiem słońca. W przeszłości *Palazzo Ducale* nie tylko był siedzibą dożów, ale służył także jako siedziba administracji państwowej, sąd, izba rady miejskiej, a nawet jako więzienie. Za pałacem, po drugiej stronie kanału, wznosił się budynek nowego więzienia połączony z Pałacem Dożów sławnym Mostem Westchnień, którym kiedyś uciekł Casanova – jedyny człowiek, któremu udało się zbiec z pałacowych lochów.

Kiedy Stefano się pochylił, aby przejść pod wystającą *loggia*, pomodlił się szybko, prosząc ducha Casanovy, aby czuwał nad jego ucieczką. W cieniu pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Dobrze znał pałac. W labiryncie jego korytarzy – miejscu wymarzonym na potajemną schadzkę – łatwo było się ukryć.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Wszedł do pałacu zachodnim wejściem razem z grupką turystów i wyszedł na dziedziniec z dwoma prastarymi studniami i wspaniałymi marmurowymi schodami – *Scala dei Giganti*, Schodami Gigantów. Przebiegł przez podwórze, przecisnął się przez lekko uchylone drzwi, przez które wolno było wchodzić jedynie upoważnionym osobom, i minął pomieszczenia administracyjne. Ostatni był stary gabinet inkwizytora, w którym wiele biednych dusz przeżyło niezwykle bolesne i brutalne przesłuchania. Nie zwalniając kroku, wszedł do sąsiadującej z nim kamiennej izby tortur.

Kiedy gdzieś za jego plecami z głośnym łoskotem zatrzasnęły się drzwi, podskoczył nerwowo i mocniej przycisnął do piersi swój pakunek.

Instrukcja była wyraźna.

Wąskimi, niewidocznymi dla niewtajemniczonego oka schodami ruszył w dół do najgłębszych pałacowych lochów – *Pozzi*, czyli Studni. Trzymano tutaj najbardziej zatwardziałych więźniów.

Właśnie tu miało odbyć się spotkanie.

Przed oczami Stefana znowu pojawił się grecki symbol.

Σ

Co on oznaczał?

Wszedł do mrocznego korytarza, z którego liczne drzwi prowadziły do małych cel z poczerniałego kamienia, zbyt niskich, aby zamknięty w nich człowiek mógł stać. W tych celach w zimie więźniowie zamarzali, a podczas długiego weneckiego lata umierali z pragnienia.

Stefano włączył ołówkową latarkę.

Najniższy poziom *Pozzi* wydawał się pusty. Kiedy ruszył dalej, każdy jego krok odbijał się echem od kamiennych ścian i cały czas miał wrażenie, że ktoś za nim idzie. Strach ściskał mu pierś. Zwolnił. Czyżby się spóźnił? Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i nagle zatęsknił za słonecznym światłem, od którego wcześniej tak bardzo starał się uciec.

Zatrzymał się.

W celi obok zapaliło się światło.

– Kto tam? *Chi è là?* – zapytał Stefano.

O kamień skrobnął obcas.

– To ja przesłałam panu wiadomość, signore Gallo – powiedział cichy głos, mówiący po włosku z lekkim obcym akcentem.

Na korytarz wyszła smukła postać z małą latarką w dłoni. Nawet kiedy opuściła promień, blask światła nie pozwalał dostrzec, jak wygląda. Była ubrana w czarną skórę, ciasno opinającą jej piersi i biodra. Rozpoznanie dodatkowo utrudniała chusta na głowie, zawiązana po beduińsku i zasłaniająca twarz. Widać było jedynie oczy, w których odbijał się blask latarki. Kobieta poruszała się z leniwym wdziękiem, który działał uspokajająco na rozdygotanego Stefana.

Wyszła z cienia niczym Czarna Madonna.

– Masz artefakt?

– Tak… mam – wymamrotał i zrobił krok w jej stronę. Wyciągnął do niej obelisk, z którego spadło okrywające go płótno. – Nie chcę mieć z tym więcej do czynienia. Powiedziała pani, że może to zabrać w bezpieczne miejsce.

– Mogę – odparła i dała mu znak, aby postawił obelisk na podłodze między nimi.